

Od autora: Drodzy Czytelnicy :) Pewnego wieczoru, a było to dawno, napisałam sobie zdanie, które przyszło mi do głowy bez żadnego powodu, ani zamysłu. Po czym kolejne, którymi zaczęłam się bawić, wciąż nie mając pomysłu na fabułę. Aż się tak zapętiłam, że odłożyłam tę pisaninę na bok i zaczęłam w głowie układać sobie dalszy ciąg tej historii. Od tamtej chwili przelewam ją na papier z przerwami, bo nie zawsze mam na nią czas. Sporo już jej jest, ale nie postawiłam jeszcze końcowej kropki, choć wiem, co finalnie czeka bohaterów. Dziś odważam się odkryć tu początkowe rozdziały tej opowieści, której gatunku nawet nie potrafię określić, a i tytuł jest roboczy.

Jeśli nie spalę się ze wstydu, kolejne części będę dorzucać sukcesywnie, mobilizując zarazem siebie, aby wreszcie "dopłynąć do portu" - o ile warto ;). Ta podróż trwa już naprawdę długo.

Adam ukradł jabłko, tak mówią. To nie było w raju, chociaż ponoć dla Ewy to jabłko. Lecz prawdą jest, że Ewa bardzo mu się podoba i ma nadzieję skraść jej całusa. Perspektywa jednak raczej odległa, bo Adam nie pomyślał, że przez to jabłko stanie przed sądem. I dziś właśnie stanął.

Sąd, a ściślej trzy kobiety obce tutejszym mieszkańcom, lubią wędrować po świecie, więc zjechały i tu na kolejne ze swoich wyjazdowych posiedzeń, których zliczyć już nie potrafią. Wszystkie znają się świetnie, jak łyse konie, można powiedzieć, bo od piaskownicy. Już wtedy rozstrzygały, kto komu zabrał łopatkę czy wiaderko i jaką wlepić za to karę. Najgorsze katusze zadawały tym, co deptali po piaskowych babeczkach mozolnie układanych delikatnymi rączkami dwu czy trzylatków. Sędzie te – każda ruda, choć nie bliźniaczki – od zawsze doceniały pracę twórczą i nic (z wyjątkiem paru innych niecnym wybryków) bardziej ich nie mogło rozsierdzić, jak właśnie zniweczenie czyjegoś wysiłku. Niemniej miały niezły ubaw, kiedy w największą wicherę kazały wyniosłej Andżelice zamieść liście z podwórka. Za co? Tego nikt już nie pamięta. W każdym razie wychuchana, wystrojona, czerwona ze złości gonila z miotłą te liście przez pół dnia (aż wicher ucichł) na oczach uchachanej zgrai z podwórka i kolesi z sąsiedztwa specjalnie przywołanych na ten niecodzienny spektakl. Żeby było trudniej, gdy Andżelice udawało się jakimś cudem zebrać torbę liści, kolesie ukradkiem rozsypywali kolejne, że niby wiatr przywiał zza drzewa. I skandowali: „Patrzcie ludzie! Tratatata, jak Agata dziś zamiata. Delikacik nasz słodziutki zedrze sobie nowe butki”. „Ja wam dam Agatę, popamiętacie!” – wygrażała miotłą w kierunku kolesi i tylko tyle krzyczała, bo od tej liściastej gonitwy ledwo łapała dech.

Jak to możliwe, żeby tak się poddać wyrokowi trzem rudym samozwańczym wówczas sędziom. No cóż, na każdego gagatka ta trójka „coś” miała. Niechby ktoś spróbował się zbuntować i odmówić wykonania kary. Dopiero byłby wstyd na całą okolicę, gdyby sędzie roztrąbiły znane im tajemnice. Same były czyste jak łąka. Nie? Cicho – tylko my wiemy, że my wiemy, że one wiedzą, że nikt nie wie, jak było naprawdę. Sprostowanie: raczej tak im się wydaje.

Ale do rzeczy.

Proces czas zacząć

Adam nie stoi przed sądem w wielkim gmachu z posągami Temidy. Nie ma tu też bramek ani strażników. To mała salka klasowa wiejskiej szkółki w niewielkiej osadzie, oddalonej od sąsiednich wiosek wiele kilometrów, a nawet jeszcze dalej. Nie wiadomo, czy tu właśnie diabeł mówi dobranoc, ale sceneria zapewne by mu pasowała.

Wzdychając ciężko, Adam zbliżył się zalękniony na pięć kroków przed oblicze swoich dzisiejszych wyroczni, od których ma zależeć jego dalszy los. Jego dłonie drżały, nerwowo gniotąc czapkę, policzki paliły.

- A teraz sąd pyta: kto oskarża tu obecnego Adama? – kontynuowała prowadząca.

- To ja, to ja, Osada wybrała mnie! – grzmiał od drzwi tubalnym głosem wysoki, prawie na dwa metry, mężczyzna z wąsem, brodą i jednym policzkiem wyraźnie czerwieńszym od drugiego.

- Niech podejdzie i stanie obok Adama, po jego lewej stronie.

Mężczyzna zbliżył się natychmiast, zadowolony z siebie, spojrzał na oskarżonego z góry, z drwiącym uśmiechem.

- Pewny siebie, zbyt pewny – szepnęła pod nosem sędzia prowadząca, a głośno: – Niech powie, jak go zwać...

- Nijak.

- Jak?

- Nijak.

- Tu nie miejsce na żarty, człowieku. Za drwiny z sądu karę wlepię. Jak cię zwać, pytam, jeszcze po dobroci – rzekła sędzia zdecydowanym, chociaż łagodnym tonem.

- Nijak, ja prawdę mówię – odpowiedział wąsacz, na co Adam kiwnął dwa razy głową, pokiwali też, milcząc, wszyscy zebrani w sali.

- Cóż. Nijak to Nijak. A teraz sąd pyta, kto wstawi się za Adamem. Czy w ogóle jest ktoś taki?

- A kto by tam chciał. Ukradł, to ukradł. Kara się należy i już, szkoda gadania – piskliwym głosem wyrwała się młoda, wystrojona w czerwone korale blondynka z ustami karminowymi jak róża. W końcu sąd w Osadzie to wydarzenie, nie byle jaka okazja, aby się pokazać.

- Oho, już wiemy, że to nie waćpanna – skwitowała sędzia, wymieniając uśmiechy ze swoimi kompankami. – Skoro tak, niech nie zabiera głosu. Zatem Adam ma obrońcę, czy nie?

Z ostatniej ławki, zza pleców Kowalowej wysunął się chłopiec, wysoko uniósł rękę i ruszył w kierunku stołu sędziowskiego. Na oko może liczyć 10-12 lat, włosy długie, proste i rude. Rude, niemal czerwone.

- Nasz człowiek, nasza krew – zamruczała z uciechy sędzia z prawej i klasnęła w dłoń.

- Hola, nie przesadziłaś? – zgasiła ją prowadząca. – Czego chcesz chłopcze, szukamy obrońcy.

- Jam ci jest.

- Czy dobrze słyszę?

- Tak, jam jest obrońcą obwinionego – odpowiedział pewnie, wyraźnie i głośno.

- Hm, a ciebie jak zwą? – spytała bez zaskoczenia prowadząca. Zbyt dużo dziwaków widziała w swojej karierze, zbyt wiele słyszała historii wydających się za nieprawdopodobne, by akurat niepełnoletni chłopiec w roli obrońcy miał zrobić na niej wyjątkowe wrażenie.

- Pikuś.

Pikuś to taki trochę mądrała, ale uczynny. Gdy trafi na problem, którego nie uda się rozwikłać, przyznaje otwarcie: cóż, myliłem się, to jednak nie pikus. Jednak łatwo nie daje za wygraną. Gdy poniesie porażkę, zawistni potrafią mu „pikusia” wytknąć: „i co, mądrało, taki z ciebie ważniak, a tu kicha!” A on na to: „Za krótko żyję, żeby wszystko wiedzieć”. Czasem dodaje, że w zasadzie każdy tak ma. Na takie refleksje może czasem usłyszeć: „Ty zasmarkany rudzielcu, nie wymądrzaj się, bo zrudziejiesz do cna.” „A jakie to ma znaczenie?” – kwituje wtedy.

- No cóż, Pikuś to Pikuś – rzekła w zasadzie do siebie prowadząca.

- Właśnie tak – zareagował chłopak.

- Chłopcze. Odpowiadasz, kiedy sąd pyta. Niepytany trzymasz buzię na kłódkę. Jasne?

- Ma się rozumieć – odpowiedział.

- Dać ci kłódkę? – zarechotał Nijak.

- Cisza! – syknęła sędzia. – Chłopcze, czyli Osada wyznaczyła ciebie na obrońcę...

- Sam się wyznaczyłem, innych chętnych nie było – odrzekł Pikuś, na co dał się słyszeć głos blondynki: „a kto by tam”...

Ucichła jednak na widok wściekłych spojrzeń trzech sędzi. Wszystkie wycelowały w kierunku dziewczyny ostro zatemperowane ołówki.

- W takim razie szkoda czasu, rozprawę czas zacząć. Niniejszym ogłaszam, że w sprawie o jabłko „Osada kontra Adam” sędzią będą: Klara, czyli moja skromna, ha ha ha, osoba, oraz Sara, z mojej lewej i Tara, z prawej. Stwierdzam, że oskarżony Adam stawiał się przed obliczem sądu, stawili się też: oskarżyciel w osobie Nijaka i obrońca w osobie Pikusia. Jednocześnie obwieszczam zebranym w tej sali, że każde słowo, które tutaj padnie, zostanie skrupulatnie zapisane. Podkreślam: każde! I już my zadbamy, aby wszelki obraźliwy komentarz, rzucony w dzisiejszej sprawie nikomu nie uszedł płazem – ogłosiła sędzia Klara, wbijając wzrok z przymrużonych złowrogo oczu w blondynkę z ustami karminowymi.

Dziewczyna zadrżała... W sali ucichło, słyszeć było tylko skrzywienie pióra, zapisującego ostatnie słowa sędzi. Mimowolnie wszyscy skierowali wzrok w kierunku, skąd dźwięk dochodził. W kącie za stołem sędziowskim, na podłodze leżała drobna postać, z głową pochyloną nad stertą papieru i tak nisko, że niemal nosem dotykała rulonu, na którym pojawiły się właśnie pierwsze wyrazy dokumentujące przebieg rozprawy. Postać mogłaby podnieść wyżej czoło i nie szorować nosem po swej kronice, gdyby założyła okular. Ale ona nie chciała. Gdy pisała, kręciła nosem w lewo i w prawo, to zagryzała wargi, to je nadymała i tak często wysuwała język na brodę, to w lewo, to w prawo i ku górze, że z tych wstrząsów żaden okular nie utrzymałby się na swoim miejscu dłużej niż przez trzy sekundy. Na dodatek wciąż machała nogami, jak nożycami. Gdy Klara przerwała, ręka kronikarska pisarczyka zastygła w bezruchu w oczeki-

waniu na dalsze słowa.

- Jasne?! – przecięło ciszę pytanie sędzi, która uniosła się z krzesła.

- Jasne! – chóralnie odrzekli wszyscy obecni, pamiętni nauczki danej Pikusiowi, że odpowiadać trzeba, gdy sąd pyta.

- Siadajcie ludzie – Klara machnęła ręką i opadła na krzesło.

Głos zabrała Tara.

- No cóż, mamy sprawę o kradzież. Niech oskarżyciel Nijak powie, co o tym wie – ni to swojsko, ni to formalnie zwróciła się do rosnącego brodacza.

- To było proszę sędzi tak. Szedłem sobie drogą, tą najdłuższą w Osadzie, tą przy sadzie, no wiecie – zaczął Nijak, rozglądając się po sali. – I, i zobaczyłem Adama, jak schylał się pod płotem. Pomyślałem: ani chybi coś zgubił. Chciałem pomóc, ale on szybko schował coś do kieszeni. Co tam masz, spytałem. A on, że to nie moja sprawa. Nigdy tak nie mówił, podejrzane to było. I mówił takim dziwnym głosem, że zdenerwowałem się, złapałem za rękę i kazałem pokazać. Nie chciał, więc sam wyciągnąłem jego rękę z kieszeni i zobaczyłem, że trzyma jabłko. To się wtedy jeszcze bardziej zdenerwowałem.

- Jeszcze bardziej... dlaczego? – przerwała Tara.

- Jak to, jabłko sobie schował.

- A co miał z nim zrobić?

- Oddać.

- Komu?

- No mnie przecież.

- Tobie powiadasz. To twoje jabłko?

- Nie, nie moje, ale też nie jego.

- Skąd wiesz? Pytałeś skąd je ma?

- Pytałem. Mówił, że jego, że zgubił.

- Więc w czym problem. Zgubił, odnalazł i mógł sobie pójść do domu. Sprawa jasna, szkoda czasu. Lepiej chyba ulepić bałwana, albo sanie zaprzęgać i wiśta wio. Widzi Nijak, ile śniegu napadało? – zniemacka znicierpliwiła się Sara, milcząca do tej pory, wskazując ołówkiem na okno.

- Ale, proszę sędzi, to nie jest jabłko Adama – upierał się Nijak.

- Czyje zatem, mów jaśniej – syknęła Sara.

- To jest jabłko z sadu.

- O ile wiem, z reguły jabłka pochodzą z sadu.
- Ale, proszę sędzi, z tego sadu. Tylko z tego sadu. On je ukradł! – Nijak podniósł głos i spojrzał złowrogo na Adama.
- Jak ukradł? Skoczył przez płot, zabrał i znów skoczył przez płot? Zrobił w płocie dziurę? Widziałeś to?
- Nie widziałem, ale podnosił je z trawy, przy płocie.
- Za czy przed?
- Nie rozumiem.
- Po której stronie płotu?
- No, po mojej.

Postać na podłodze zachichotała.

- Czyli przed płotem, a jeśli tak, to przy drodze publicznej, przy drodze należącej do wszystkich i do nikogo z osobna zarazem. Jaki z tego wniosek? Że nie możesz mieć pojęcia, czyje to jabłko. Równie dobrze, może być wasze Nijaku, czy jak cię naprawdę zwa, jak i Adama. Nic nie widziałeś, a upierasz się. Dla ciebie każdy, kto podnosi jabłko z trawy, to złodziej? Mów konkretnie, jeśli masz coś sensownego do powiedzenia – tym razem to Tara zaatakowała Nijaka i wycelowała z dala w jego pierś ołówek.
- Nieprawda, proszę sędzi. To nie jest jabłko Adama. On zabrał je naszemu panu, prawda ludzie? Zabrał je panu – wykrztusił z siebie Nijak, i spojrzał błagalnym wzrokiem na zebranych w sali mieszkańców Osady.
- Co takiego? Naszemu panu? Dobrze słyszę? Ludzie! Pana macie? – odezwała się Sara, wstając od stołu i zbliżając do siedzących w ławkach. Z niedowierzaniem kręciła głową, krążąc między ludźmi, zaglądając im w oczy. A oni truchleli, gdy tak przeszywała ich wzrokiem.
- A jakże, mamy. Ten sad to jego sad, tylko jego, i prawie wszyscy z tego żyją. Nikt sadu nie ma, nikt nie hoduje jabłek. Kowalowa tylko sobie czereśnię posadziła. Kiedyś u babki Adama rosła jabłonka, co tydzień robiła dla tej swojej dzieciarni szarlotkę. Ale piorun strzelił, drzewo na pół rozpirzył, tylko śwąd poszedł. Tak jabłka lubili, to teraz ukradł... - rozgadał się Nijak.
- Niech nam tu Nijak o szarlotkach nie prawi. Nie masz dowodów na swoją teorię.
- Ale ja to wiem. To jabłko na pewno było w tym sadzie – głos Nijaka zabrzmiał dość ostro.
- I samo przecisnęło się przez dziurę w płocie, poturlało na drogę, wpadło do dołka w trawie – zadrwiła Tara.
- Samo turlało, samo schowało, samo zajadało... – zanucił pisarczyk, wymachując ręką takt.
- No nie, ale pewnie spadło z gałęzi, bo bo bo za za płotem przecież rośśnie drzewo - wyjąkał Nijak.

- Pewnie, pewnie, pewnie, ale czy spadło? Nijak to widział? – ciągnęła sędzia.

- Pewnie nie widział... – wtrącił pisarczyk.

- Nie widziałem – przyznał wąsacz, a kronikarz kiwnął głową. – Ale, jak boga kocham, jak tu stoję, to nie mogło być inne jabłko, tylko z tego sadu. Takie jabłka rosną tylko tam. Każdy to wie, prawda ludzie? Prawda, że... – wołał Nijak głośno, patrząc na najstarszego z zebranych.

- Załóżmy, że tak jest. Ale Adam mógł je przecież kupić. Kupiłeś Adamie? – przerwała Klara, po raz pierwszy kierując pytanie do oskarżonego.

- Nie mógł. Nie stać go – odezwał się Nijak, na co Adam spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę.

- Nie stać? Ile jest ono warte? – ciągnęła Klara.

- Tyle, co kopa jaj.

- Pokażcie to jabłko – zawołała Tara.

Stróż zgięty w pokłonie zbliżył się, lekko utykając, otworzył pudełko z napisem „Dowód w sprawie. Nie ruszać, pod groźbą”, podał sędzi jabłko i szybko się wycofał.

- Każdy poznaje? – Tara ruszyła między ludzi z jabłkiem na dłoni, każdemu je niemal pod nos podtykając, a każdy zgodnie, milcząc kiwał głową „na tak”. Sama przy tym przyglądała się jabłku, jakby to nie był zwykły owoc. Bo nie był. Czerwień miał niespotykaną i tak lśniąca skórka, że przeglądające się w niej promyki słońca podobne do gwiazd tworzyły wokół niemal boską poświatę. Gdy Tara weszła w największy snop światła bijący od okna – za oknem akurat śnieg przestał padać i zza chmur wyjrzało na chwilę słońce - jej dłoń otoczyła złocista przezroczysta kula. „Ja śnię?” – pomyślała i stanęła bez ruchu.

„Czy to jawa?” – pytała w duchu Klara, a Sara jak zaczarowana wysunęła się z mrocznego kąta sali, w którym od jakiegoś czasu słuchała zeznań Nijaka, i powolnym krokiem podążyła w kierunku niecodziennego zjawiska.

- Powiadacie ludzie, że ten dorodny owoc pochodzi z jedyne w waszej osadzie sadu. Jesteście pewni? – spytała w końcu Klara, która tak łatwo nie poddawała się emocjom. Natychmiast też otrząsnęły się z chwilowej hipnozy obie jej kompani.

- Tak, proszę sądu – odchrzyknęli chórem zebrani, blondynka najgłośniej, najpiskliwiej.

Tara zbliżyła się do niej, spojrzała głęboko w oczy i rzekła:

- Widziałam wiele pięknych jabłek na świecie. To, muszę przyznać, jest wyjątkowe. Skąd jednak u was taka pewność, że tylko tu takie rosną. A może Adam dostał to jabłko w innej osadzie, albo kupił taniej gdzieś daleko na targu, potem wypadło mu z kieszeni. Co ty na to, kochana? Wyjaśnisz to sądowi?

Blondynka spieszyła się, ale odpowiedziała:

- Tak proszę sędzi. Tych jabłek nikt nie kupuje, ani my w osadzie, ani nikt w okolicy, na targu też. Tych jabłek nie zna nikt inny, tylko my, i my nawet nie wiemy, jak smakują. One nie są dla nas...

- No właśnie, Adam je ukradł – wtrącił Nijak.

- Nikt nie kupuje, nie dla was. Co wy opowiadacie. To dla kogo one, po co ten wielki sad? – pytała Klara.

- Proszę Szanownego Sądu – odezwał się Pikuś. – Ten wielki sad jest po to, żeby bogacił się jego właściciel, chociaż w zasadzie nie widać, aby żył ponad stan, mieszka gdzieś w ukryciu, czasem tu nocuje w dworku przy sadzie. Ostatnio nikt go tutaj w ogóle nie widuje. Podobno gdzieś musiał wyjechać, i jego pomocnik, taki milczek z natury, przekazał tylko dozorczy, a dozorca reszcie, że wszyscy mają pracować, jak dotąd. Swoją drogą to ciekawe, co się dzieje z pieniędzmi, które ten sad przynosi. Ostatnio chyba nawet więcej niż kiedyś, bo jabłunki są jakieś bardziej urodzajne i trzeba już dwa dodatkowe wozy ładować i wysyłać na dworzec, skąd koleją jadą w świat. Ale muszę uczciwie dodać, że dzięki temu w osadzie nikomu głód w oczy nie zagląda, bo niemal wszyscy tam pracują. Członkom rodzin pracowników pracować w sadzie nie wolno, więc pozostali mieszkańcy żyją z innych zajęć, których tu zresztą nie ma zbyt wiele do wyboru. Sadownik hojnie nie wynagradza, chociaż ostatnimi czasy dniówki wzrosły i to ludziom wystarczy, aby móc utrzymać rodzinę, jakoś przeżyć od wypłaty do wypłaty i nawet móc składać grosz do grosza na przyszły ślub córki...

- Ślub za grosze, no prosze – zanucił pisarczyk, na co Klara natychmiast go ostro zbesztła: cichaj żesz!

- ... skromnie żyć można, a nawet nieco lepiej, czyli bez głodu i z zaspokojeniem podstawowych potrzeb, a nawet przyjemności – kontynuował nie zrażony Pikuś. – Sad, można powiedzieć, to nasze złoto, bez którego bida by tu piszczała, że hej, jak kiedyś. Wkoło ziemia nieuprawna, aż dziw, że udaje się coś wyhodować w przydomowych ogródkach, las też niewielki i na dodatek ubogi w jagody, a ryb w jeziorze i rzecze też za mało, by na nich zarabiać. Wreszcie, fabryki są hen stąd, dojechać do nich niełatwo. W taką zawieję śnieżną jak dziś nawet przez osadę ciężko przemierzać. Kiedy ktoś stąd wyjedzie, nie wraca. Z reguły.

- Złoto, powiadasz. Skromne życie, mówisz. Dlaczego w takim razie nie znacie smaku tych jabłek, jak stwierdziła.... Jak ci dziewczyno na imię? – Klara zwróciła się do blondynki.

- Helka – Pikuś ubiegł dziewczynę i przeszedł do dalszych wyjaśnień. – To jest strategia sadownika i umowa z pracownikami.

Helka stała milcząc, oczy szeroko otworzyła i z przerażeniem patrzyła na Klarę, która wpatrywała się uważnie w dziewczynę. W sali zapadła cisza. Wszyscy ciekawi, co powie, wyczekiwali jej słów. Ta jednak zaniemówiła.

- Buzia na kłódkę miała być, prawda? – syknęła sędzia, odwracając się do Pikusia. Wydawało się jednak, że nie rzekła tego ze złością, ani z wrogim do niego nastawieniem. Chłopak wyglądał na rezolutnego i chyba z tego całego towarzystwa najzdolniejszy do logicznego myślenia. Niewątpliwie wyróżniał się, co Klara zaczynała uznawać za ewentualną szansę wyjaśnienia zagadek tego dziwnego miejsca na świecie.

- Ja nie wiem – Helka przerwała milczenie. – Mamy, to znaczy ci, co pracują w sadzie, zakaz ich jedzenia. Jabłek nie wolno wnosić, nawet dla rodziny. I opowiadać, jak rosną. Podobno kiedyś czeka nas wszystkich za to nagroda. Tak ludzie mówią.

- I wierzycie w to?

- Proszę pani, papier jest – podniósł się z ławki staruszek, niski, niemiłosiernie chudy i oparł na przepięknie rzeźbionej lasce.

- Proszę sądu, a nie „proszę pani”, ile razy mamy to powtarzać – zareagowała Klara, ale tej kwestii nie ciągnęła dalej. Nareszcie usłyszała o czymś, co mogło być dowodem w sprawie.

- Papier? Co za papier? – spytała szybko.

- Normalny, taka umowa, Pikuś mówił. Jest na piśmie, a w niej, że mamy pracować w sadzie przez sześć godzin codziennie, jedni od rana, inni od południa, od poniedziałku do piątku, jabłek nie jadać, niczego nie wnosić do domu, nawet gałązki i każdy ma każdego pilnować. No i że za to należy się tyle i tyle, do tego wolne dni, wolne święta, wolne na ślub, chrzciny i takie tam uroczystości, a chorzy mają zostawać w domu i się kurować. I jeszcze, że każdy ma zapisane w księgach, czy dobrze pracuje, za lepszą pracę należy się nagroda. Nie wiemy tylko, jaka, bo tam napisane, że kiedyś ta nasza praca zostanie podsumowana.... – takie zdaje się słowo tam chyba jest – i każdy ma być nagrodzony wedle zasług, to niech się stara.

- I każdy taką umowę ma?

- Każdy, od kiedy pan musiał gdzieś wyjechać, księgowy powiększył sad i jabłka jakimś cudem jeszcze bardziej wyładniały.

Zebrani zgodnie kiwnęli głowami, a staruszek energicznie stuknął swoją piękną laską w podłogę i mówił dalej: że każdy ma umowę, bo tego wszyscy chcieli. Mieli już dość pracy dla oszusta, który ich wykorzystywał, coraz częściej nie płacił, albo marne grosze sypnął, nawet gdy kazał zostawać wieczorami, czasem nocami. Pojawił się tutaj nie wiadomo skąd, postawił magazyn, do którego przyjeżdżały na przemian co drugi dzień albo wozy załadowane wielkimi skrzyniami, albo puste mniejsze, do których trzeba było wkładać małe paczki wyładowane z tamtych skrzyń. Musiało temu draniowi i tym wozakom bardzo zależeć na tym interesie, skoro jakimś cudem docierali na ten koniec świata w najgorszą pogodę, chociaż nie wszyscy, po jakimś czasie towar dostarczano i odbierano coraz rzadziej. Pracownikom wcale to nie ulżyło, nadal kazano im przychodzić codziennie i przychodzili. Wszyscy tu uczciwi, mieli nadzieję, że szef zapłaci, gdy skończą się jego przejściowe kłopoty, jak tłumaczył brak wypłaty dniówek. I pewnej nocy nagle wyjechał, ale zostawił księgowego do pilnowania tego interesu. Na szczęście ten nie zmuszał do harówki nocami i po jakimś czasie nawet podniósł płace. Znow regularnie przyjeżdżano tu po dostawy. Ludzie przestali myśleć o buncie. Uspokoił się, gdy im wręczono umowy. W sumie to dziwne. Pana wciąż brak („i niech tu nie wraca, bo popamięta”), a sad obrodził, jak nigdy wcześniej.

- A ten księgowy pewnie stąd – skwitowała Klara.

- Nie, on nie stąd.

- I mu tak bardzo zawierzyliście – ciągnęła sędzia.

- Z czegoś musimy żyć. No i proszę sądu, czy dla sądu umowa to nic? Umowa nie jest ważna dla sądu? – pytał zdziwiony dziarski staruszek.

-Ależ tak..., oczywiście. Tak, tak, umowa ważna, bardzo ważna umowa jest – nieskładnie odpowiedziała Klara zbита z tropu. Szybko jednak odzyskała równowagę. – Wiedźcie jednak, że sąd widział już

niejedno na tym świecie i pewnie nie miałby wiele do roboty, gdyby wszyscy byli tak uczciwi, jak wy tutaj. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak wielu umów ludzie nie dotrzymują i...

- Wiemy, wiemy, proszę pięknej pani, ale my mamy zasady, umowa to umowa i nikomu się nie śni, żeby ją łamać – przerwał staruszek, najwidoczniej niczym nieskrępowany. Zebrani znów zgodnie pokiwali głowami.

- Rozumiem zatem, że w tym przypadku umowa jest dotrzymywana. Wy rzetelnie wykonujecie swoje obowiązki wedle jej reguł, a sadownik swoje wobec was. Płaci regularnie, zgodnie ze stawkami, daje wolne...

- Jako żywo... – wtrącił staruszek.

- ... i jesteście zadowoleni, chociaż nie macie kokosów...

- Jako żywo – zamruczał jak echo pisarczyk.

- ... jako żywo... - powtórzył staruszek.

- Nie przerywajcie sądowi! – fuknęła na kronikarza zniecierpliwiona, dotąd milcząca Sara.

- Od kiedy tak pracujecie? – spytała Klara.

- Już kilkanaście lat. I racja, kokosów nie mamy, ale żyjemy spokojnie, nie klepiemy biedy jak kiedyś. A teraz ta kradzież, wszystko może trafić szlag...

Wywód przygnębionego staruszka przerwało gwałtowne otwarcie drzwi. Do wnętrza wbiegł mężczyzna, zdyszany, niemal cały biały od śniegu, machając czapką w bliżej nieokreślonym kierunku.

- Jędrak, co ty...? – Kowalowa rozpoznała męża.

- Ludzie, ludzie! ... sanie potrzebne ... łopaty... trzeba zaprzęgać, tam bus... bus z dziećmi, w zaspach stoi... pomóżcie – wołał kowal zdyszonym głosem. Za nim weszła kobieta, w sukni i płaszczu przemoczonych po kolana, tuląc do siebie pod szalowym kołnierzem drobną dziewczynkę. Ktoś ustąpił miejsca na ławce, aby usiadła, po czym ludzie obstąpili Jędrka.

- Hm, to mamy przerwę w rozprawie – stwierdziła Sara, kierując słowa bardziej do pisarczyka, niż głosząc je wszem i wobec.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ivonna, dodano 14.06.2024 13:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.